

MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
W MARCU JAK W GARNCU



WSTĘPNIAK

kastel

Marzec. Jak nazwa tego miesiąca jest cudowna w porównaniu z lutym czy styczniem. Albo grudniem, nie daj Boże. Śnieg topnieje, słońce zaczyna świecić, słupek temperatury idzie w górę i w końcu po raz pierwszy w 2013 możemy zobaczyć, iż niebo ma prawdziwie śliczną, błękitną barwę. Oczywiście w trzecim miesiącu tego roku zostaje wydany trzeci numer popularnej szkolnej gazety ZSŁ, a w nim wiele artykułów poruszających ciekawe tematy. Oczywiście, jak co miesiąc są stałe działy w postaci felietonów, damskiego kącika, newsy z życia szkoły czy różnorakie recenzje. Wszystkie artykuły są warte przeczytania, ale wszyscy wiemy, że jak co miesiąc musi być kilka szlagierów, hitów czy „bangerów”, które są gwoździami gazety i które stanowczo musicie przeczytać!

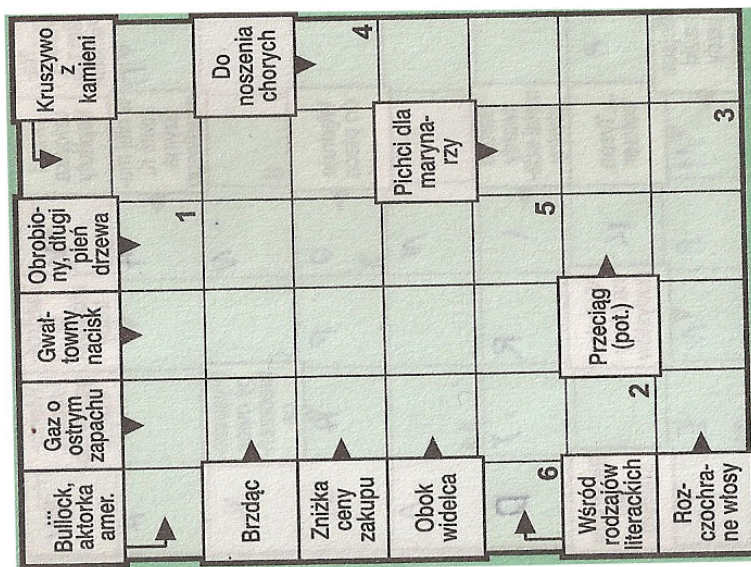
Pierwszy w kolejności jest jak zwykle Wojtek z tematem dotyczącym egoizmu. Myślę, że warto go przeczytać, bo większości z Was pewnie wywróci światopogląd. Polecam, ponieważ jestem narcyzem wiecznie zakochanym w samym sobie, a zresztą - kto mnie zna, to sam dobrze wie, jak wygląda sytuacja. Oczywiście zostając przy tym samym autorze, polecam recenzję kasowej produkcji pod tytułem „Zew łączności”*. Kolejno skromnie polecę Wam wszystkim mój tekst „Hipsterski Dzionek”, o kulturze bycia hipsterem. Temat może i oklepany, ale napracowałem się przy tym tekście, robiłem badania, ankiety i sondaże – w skrócie wykonałem rzetelnie profesjonalną dziennikarską robotę, która pokaże, jak to jest naprawdę z tymi ludźmi. Oczywiście ten numer nie byłby taki super, gdyby nie wielki powrót Andrzeja! Wszyscy dobrze wiemy, że jest to ulubieniec szkoły. Hubcio ponadto napisał o zimowych sportach ekstremalnych. Uważam, że to zestawienie mówi samo za siebie.

Tyle słowem wstępu. Zapraszam na dalsze strony i życzę udanej lektury, a ja będę się rozkoszował piękną pogodą, na którą czekałem prawie pół roku! Trzymajcie się!

*Miesięcznik „Margines” jest głównym patronem medialnym filmu.

Co w numerze?

ZSŁnews	s. 3
Spotted	s. 3
Ajć! Looknij, jaka jestem fajna	s. 4
Dobre strony egoizmu	s. 5
Chcieć to móc, tylko inaczej	s. 5
Ekstremalne sporty zimowe	s. 6
Hipermetamorfoza	s. 6
Hipsterski Dzionek	s. 7
Milla	s. 8
Gratuluje, a teraz zgiń	s. 9
Andrzej w TV	s. 9
Dni świra	s. 10
Farmville	s. 10
Recenzja: Zew Łączności	s. 12
Serialowy przegląd	s. 13
Recenzje gier	s. 13
Recenzja muzyczna	s. 14
Recenzja filmowa	s. 14



SPRING IS COMING...

...BUT NOT NOW

Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Anna Oleś
Łukasz Ożóg
Damian Hanusiak
Paweł Górszczak
Renata Makuch
Anna Karez
Tomek Nowinski
Maciek Pietrzyk
Artur Kawala
storyteller
Mateusz Bogusz
Bartosz Jędrecki
Aneta Sacha

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl



MARGINES
Gazeta Szkolna

ZSŁnews

Wojciech Gajda

WIOSNA TUŻ, TUŻ... CO PISZCZY W ZSŁ?

Witam wszystkich w marcowym, a zarazem przedostatnim wydaniu ZSŁnews mojego autorstwa. W związku z tym, że czas pędzi nieubłaganie i już za niespełna dwa miesiące przyjdzie mi się zderzyć z intelektualnymi brakami podczas egzaminu maturalnego, czas powoli odstawić wszelkiego rodzaju przyjemności na bok. Wykorzystując czas, który stał się „wolny” w wyniku wielu wyrzeczeń, trzeba jak najefektywniej spożytkować nadchodzące tygodnie, doedukowując się. Powiadają, że może być już za późno, ale... mówią też, że lepiej późno, niż wcale.

Pozostając w tematyce maturalnej... W tym miesiącu uczniowie najstarszych klas mieli okazję kolejny raz sprawdzić stan swojej wiedzy, przystępując do próbnych egzaminów z matematyki. Kilka tygodni wcześniej odbyły się także próbne egzaminy zawodowe, których celem było przygotowanie i sprawdzenie, czy absolwenci szkoły poradzą sobie w czerwcu na prawdziwych testach, których pozytywne zaliczenie skutkować będzie otrzymaniem tytułu zawodowego. Niezależnie od osiągniętych wyników należy jednak pamiętać, że są to jedynie próby. To, jak poradzimy sobie w prawdziwej walce z poszczególnymi przedmiotami i egzaminami – czas pokaże.

W połowie lutego zakończył się 6. Festiwal Informatyczny „Projekt na Szóstkę” organizowany przez naszą szkołę dla uczniów krakowskich szkół technicznych. Zwieńczeniem wydarzenia były dwudniowe prezentacje zgłoszonych prac konkursowych w Krakowskim Parku Technologicznym, po których ogłoszono wyniki. Projekty można było zgłaszać w siedmiu kategoriach, takich jak m. in. aplikacje mobilna, aplikacja muzyczna czy grafika 2D/3D. W aż czterech kategoriach laureatami zostali uczniowie ZSŁ. Nagrodę publiczności (tablet zasponsorowany przez jedną z firm będących patronem wydarzenia) zdobył Damian Zachwieja dzięki swojemu projektowi „Otagg”. Pełną listę laureatów festiwalu znaleźć można na stronie naszej szkoły. Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

W minionym czasie odbyły się także finały kilku konkursów – wyłoniona została m. in. Mistrzyni Ortografii ZSŁ! Tytuł ten na najbliższy rok wylądował w rękach Izabeli Marcinkowskiej z klasy 2 Id. Zakończył się także dwuetapowy konkurs „Matematyczne Łamanie Głowy”, który wpisał się już w tradycję Zespołu Szkół Łączności. Niekwestionowanym zwycięzcą został (i tu odrobina prywaty) mój kolega z ławki – Adrian Broda z kl. 4 Ib, który na 12 przygotowanych przez organizatorów konkursu łamigłówek, białą flagę wywiesił tylko podczas rozwiązywania jednego z nich. Miejmy nadzieję, że na maturze pójdzie równie gładko... ;)

19. lutego odbyło się spotkanie redakcji „Marginesu” z dyr. Antonim Borgoszem, który w ten sposób chciał okazać szacunek dla działalności grupy pod dowództwem prof. Bogusza. Przy kawie i herbacie mieliśmy okazję porozmawiać m.in. o procesie tworzenia naszej gazety. Czujemy się docenieni, za co serdecznie Panu Dyrektorowi dziękujemy. Niezmiernie miło obserwować, że w jednej z najlepszych polskich szkół technicznych, nie zamyka się drzwi na inne dziedziny będące w zakresie zainteresowań uczniów.

W tym wydaniu ZSŁnews to już wszystko. Do przeczytania w kwietniu!

Spotted

kastel

DOBRA INICJATYWA CZY NIE?

Słowem wstępu zaczniemy od tego, co to jest Spotted? Spotted to ostatnio panujący w sieci trend, zwłaszcza na Facebooku. Polega na tym, że przykładowo jadąc tramwajem, widzimy bardzo ładną dziewczynę, ale jesteśmy zbyt nieśmiali, żeby się zebrać do kupy i zagadać. Więc tylko jedziemy i szczerzymy nawzajem do siebie zęby (zakładamy pozytywną wersję historii), dopóki jedno z nas nie wysiadzie. Ona wysiada – ty za to straciłeś okazję na zawarcie nowej, obiecującej znajomości (i przy okazji -100 punktów w MPK GAME). W tym momencie wkracza właśnie Spotted. Piszemy na stronie, że widzieliśmy najostrożniejszą dziewczynę świata, opisujemy jej wygląd i sytuację oraz piszemy, że fajnie by było, gdyby się odezwała i można było nawiązać bliższy kontakt. Jeżeli jest w gronie fanów tej strony, informacja się jej pokaże i jeżeli jesteś gorącym tygrysem (a jesteś na pewno!), być może odpisze. Jeżeli nie odpisze ona, to odpisze ci 50 jak zawsze zainteresowanych sprawą hejterów. Moim zdaniem Spotted to coś pięknego, bo ile razy byliśmy w takiej sytuacji, że los daje nam szansę, a my ją wolno puszczamy? Ja osobiście niejednokrotnie. Ale to oczywiście ze świadomego wyboru. Oczywiście Spotted, jak to bywa, ma tyle zwolenników, co i przeciwników... i najgorsze jest to, że każdy ma trochę racji. Zwolennicy twierdzą, że jest to ratunek dla nieśmiałych ludzi, którzy dzięki temu mogą poszerzyć swoje grono znajomych. Przeciwnicy krzyczą, że to nie ma sensu, jak jesteś miękki i nie zagadasz to twój problem, i klasycznie, że w ten sposób zatracamy umiejętność interakcji z innymi ludźmi w rzeczywistości – bo w sieci łatwiej. Trudno się z tym nie zgodzić, ale mimo to uważam, że Spotted ma sens, zwłaszcza, że nie wszystkie posty są typu: „Hej seksowna brunetko, odezwij się”. Często pojawiają się po prostu pozdrowienia lub informacje, że ktoś coś zgubił albo znalazł, chociaż wiadomo, że główny cel stron „Spotted” to poznawanie innych osób. Czemu popieram tę inicjatywę? Z prostej przyczyny – wiele postów, które są publikowane, są bardzo radosne, twórcze, poruszające, zabawne i napawają mnie optymizmem oraz wiarą w społeczeństwo, które mimo trudności i szarości w życiu potrafi znaleźć promyk słońca lub też być właśnie takim promykiem. I oczywiście ten cień szansy, że komuś wpadłeś w oko i cię szuka. Serio, wejdźcie przykładowo na „Spotted: MPK Kraków” na Facebooku oraz poczytajcie kilka postów. Mam nadzieję, że zrozumiecie i zobaczycie, o czym piszę.



http://www.sepfil.pl

Pamiętam, że swój pierwszy tekst do „Marginesu” pisałam na temat Dnia Kobiet. Już tyle czasu minęło od tego dnia... Dziś, zgodnie z tradycją, również nawiążę do naszej – piękniejszej, mądrzejszej i lepszej – płci. Na warsztat idzie tym razem babska logika – pojęcie równie abstrakcyjne jak czas i wieczność. Nie obrażając oczywiście nikogo, wszak raz na jakiś czas można się pośmiać.

Typ pierwszy: pije, pali, przeklina, ale narzeka, że na tym świecie nie ma dzentelmenów, którzy by ją przepuścili w drzwiach lub ustąpili miejsca siedzącego. Najprościej mówiąc: facet powinien być kochany, przystojny, dobry w łóżku, pamiętać o rocznicach, umieć przyznać się do błędu, zawsze brać pod uwagę zdanie drugiej połówki w pierwszej kolejności, umieć gotować, znać się na sztuce, nie bić, ale w razie potrzeby zawarczyć... Długo by wymieniać, jednak o takim czy innym ideale marzy (prawie) każda kobieta. Ta sama (prawie każda) kobieta najgłośniej mówi, że na świecie nie ma mężczyzn-ideałów. Baba, o której można powiedzieć chyba wszystko, tylko nie to, że jest idealna. I na pewno do ideału niedążąca. Tylko brać, ale nie dawać nic w zamian. „Lajf is brutal”, jak to się mówi, takim damom nie grozi spotkanie z rycerzem z marzeń. Na całe ich (panów, nie bab) szczęście, mężczyźni są zaprogramowani w genach tak, że szybko ewakuują się, gdy w pobliżu znajduje się wyżej opisana niewiasta.

Typ drugi: zakłada obcisłą bluzkę z dekoltem do pępka i chce poznać faceta, który od razu pokocha jej charakter. Każdy zdrowy na ciele i umyśle facet wpuszczony między stadko urodziwych par najpewniej będzie miał problem, gdzie oczy podziać. Ta ładna, ta piękniejsza, a tamta to cud-miód-malina! Natury nie da się oszukać. Wyobraźmy sobie taką sytuację: piątek wieczorem, idziemy sobie spokojnie spacerkiem, w pewnej chwili mijają nas ONA, pyta o godzinę. Obcisła bluzeczka z dużym dekoltem, spódniczka, która bardziej przypomina pasek niż dolną część garderoby, aż się człowiek zastanawia, czy przypadkiem jakaś magiczna siła nie przeteleportowała go do dzielnicy czerwonych latarni w Amsterdamie. Wzrok nasz nie znajduje się na wysokości oczu rozmówczynie, lecz kilkanaście centymetrów niżej, gdzie obiekty są zdecydowanie bardziej interesujące. Nim zdążymy podzielić się informacją o tym, że właśnie wybiła 20:30, dziewczyna rzuca w naszą stronę jedno słowo: cham. I odchodzi. Teraz niech mi ktoś wytłumaczy, po co taki strój, który ewidentnie krzyczy: „Spójrzcie na mnie, jakie mam jędrne pośladki, jaki okrągły biuścik”, jak nawet popatrzeć nie wolno (nie mówiąc już o dotykaniu!). Jestem babą, ale nie ogarniam.

Typ trzeci: wiesz o niej wszystko, co zjadła na śniadanie, w jakim kolorze ma dziś bieliznę, której piosenki słuchała o 10:47, jakie nowe buty kupiła (tylko 28 zdjęć!), gdzie i z kim bawiła się wczoraj na imprezie, jakieś mądrości życiowe i apel o przestrzeganie praw zwierząt, najpewniej pierwszy też będziesz wiedział, że właśnie rozstała się ze swoim miściem-pysiem. Internet to

naprawdę dobra rzecz. Można znaleźć wiele ciekawych rzeczy, poczytać (np. wersję online naszego wspaniałego pisma :)), pooglądać, posłuchać. Ale gdy się widzi takie „fejsbukowe dzieła”, to witki opadają. Zaczyna się niewinnie. Nastoletnia Małgosia właśnie założyła konto na portalu społecznościowym. Już po pierwszym albumie zdjęć widzimy, ilu ma znajomych i jak bardzo jest rozrywkowa. Potem dodaje album kolejny i kolejny, przeplatane „wyszukanymi” statusikami. Małgosia kończy lat naście, idzie na studia, ledwo wyciąga zaliczenia. Ale co z tego, skoro właśnie zyskała +250 do znajomych i +90 do zdjęć, każde z innym kumplem. Któregoś dnia Małgosia poznaje Andrzeja. Może nie jest taki przystojny, jak Brad Pitt, ale da się z nim pogadać. Po 10 randkach okazuje się, że Małgosia i jej statusiki milkną, jest święty spokój, może na miesiąc, może pół roku. Nagle status związku zmienia się na „zareczony”, pojawia się ślit focia z misiaczkiem, a wszyscy znajomi w liczbie 1384 zostają zaproszeni na wydarzenie „ŚLUUUUB!!!!”. Mija kilka miesięcy, Małgosia dodaje nowy album, 418 fotek. Sesja ślubna i weselna. CAŁA. Widzisz, że wszyscy goście tańczą Makarenę, tylko przez 15 ujęć, że drużba wszedł pod sukienkę druhny, bo taką zabawę wymyślił wodzirej z małej wsi pod Łodzią. Potem pojawia się ONO. Małe, różowe, głośne, ale w sumie urocze. Wiesz, jakiej konsystencji i koloru robi kupki, jak wygląda pierwszy ząbek, co dostało na chrzciny od wujka z Radomia... Tylko 70 zdjęć, bo przy próbie dodania większej ilości, pada serwer i prąd w całej dzielnicy.

Nie wiem, może faktycznie trochę wyolbrzymiam, ale czasem czuję się, jakbym była nie z tego świata. Mam idealnego faceta, góra ze 30 zdjęć na swoim profilu i nie noszę spódniczek krótszych, niż do kolan. I serio cieszę się, że w łączności nie ma tylu bab.



Dobre strony egoizmu

Wojciech Gajda

CZY BYCIE NARCYZEM JEST NAPRAWDĘ TAKIE ZŁE? A MOŻE KAŻDY Z NAS JEST NIM PODŚWIADOMIE?

Słowo egoizm, a przede wszystkim poczynania związane z zachowaniami niosącymi ślady postaw charakterystycznych dla ludzi nim „zarażonych”, wszystkim nam kojarzą się jednoznacznie negatywnie. Gdy natkniemy się na kogoś, kto – jak dobre stare powiedzenie mówi – nie dostrzega w życiu niczego, poza czubkiem własnego nosa, jesteśmy pełni rozgoryczenia. Nie akceptujemy takich postaw i gardzimy nimi. Dlaczego nie potrafimy znaleźć zrozumienia względem czegoś, co wbrew pozorom jest naturalne i wysane wraz z mlekiem z piersi matki?

Każdy z nas ma swoje marzenia, swoje aspiracje i swoje upodobania. Jeden czegoś nie lubi, a drugi znajduje w tym fascynację. Trzeci za czymś nie przepada, a kolejny pozwoliłby się za to pokroić. To jednak nie są powody, by ulegać wpływow silniejszych jednostek i robić rzeczy, których nie lubimy. Tym bardziej, że czasem w ogóle nie warto nawet szukać kompromisu. Każdy w życiu, czy się do tego przyznaje czy nie, pragnie jak najlepiej przede wszystkim dla samego siebie: chce mieć dobrą pracę, być dobrze usytuowanym, być lubianym, przystojnym i dobrze ubranym. Często w planach i naszych marzeniach tkwią także bliscy: chcemy, by byli zdrowi, piękni, bogaci i zawsze wokół nas. I można by pomyśleć, gdzie w tej sytuacji egoizm, skoro myślimy i interesujemy się także życiem innych? Objawia się on tym, że może i owszem myślimy o ukochanych osobach, ale wyłącznie (podświadomie) w aspekcie naszego życia. Chcemy dobrze dla nich, bo wtedy będzie wygodniej i nam... Gdy osoby uczestniczące w naszym życiu będą szczęśliwe, szczęśliwsi będziemy także i my. Ludzi, którym naprawdę bezinteresownie zależy na innych, jest już bardzo niewielu i są to osoby, które poświęcają się dla innych kosztem własnego życia. To przypadki skrajne, nieliczne i nieobalające odważnego wniosku, który nasuwa się po głębszej analizie naszych przyzwyczajzeń: wszyscy jesteśmy egoistami.

Po takich wnioskach przychodzi mi na myśl tylko jedno pytanie: no i co z tego? Czy egoizm naprawdę jest taki zły, jak wszyscy twierdzą? Moim zdaniem egoistyczne myśli są oznaką tego, że ktoś chce zadbać o swoje życie. Jest pewny siebie, potrafi walczyć o swoje prawa. Nawet, jeśli ktoś nosi w sobie tyle tej cechy, że nie wykazuje żadnych skłonności do empatii, to nie jest to wynikiem znieczulicy i braku zainteresowania otaczającym światem, lecz chęcią stworzenia dobrobytu dla siebie. W myśl zasady: „Każdy sobie rękę skrobie”. I nie rozumiem argumentów, że ktoś ma gorzej, że wypadłoby się czymś zainteresować. Mnie obchodzi moja osoba – tu i teraz. I to nie jest nawet egoizm, tylko realizm – świata nie zbawię, choćbym chciał. Wielu ludzi dziwi fakt ignorancji poszczególnych osób wobec cierpienia, krzywdy czy sytuacji innych. Dla mnie wydaje się być to naturalne. W dzisiejszych czasach przy pełnych zmysłach pozostają jedynie silne jednostki i tylko one mają szansę na osiągnięcie sukcesu, bycie w pełni szczęśliwym. Niepodzielanie cierpienia nie jest brakiem empatii i oznaką bycia egoistą do potęgi setnej, lecz oznaką rozsądku, który nakazuje angażować się tylko w sytuacje bezpośrednio nas dotyczące. I nikt nie powinien nikomu mówić, jak ma żyć. Bo nikt za niego nie umrze.

Chcieć to móc, tylko inaczej

Renata Makuch

O MOTYWACJI I INNYCH PIERDOŁACH.

Ile razy próbujemy coś osiągnąć, jednak po pewnym czasie dajemy za wygraną? Dlaczego? To proste, brakuje nam motywacji. Złe obrany cel, złe przyzwyczajenia i brak wiary we własne możliwości, to one przeważnie niszczą nasze plany.

Motywacja... Ważna sprawa. Niektórych motywują piosenki, innych filmy czy książki, czasem nawet głupie zdjęcie może robić za motywator. Dyscyplina, sumienność i wytrwałość przede wszystkim. Aby „wygrać”, musimy o nich pamiętać.

Każdy z nas cele ma różne, jedni chcą schudnąć czy zrobić rzeźbę, inni zacząć urzeczywistniać swoje marzenia, a jeszcze inni zacząć się uczyć, (lecz chyba grono tych osób jest bardzo nieliczne). Dobra – cel jest, tylko, co dalej?

Zawsze zaczyna się tak samo. Wiele chęci, przypływ energii i w głowie ta sama myśl: „Tym razem mi się uda”. Kiedy zacząć? Od jutra... Właśnie to „od jutra” wszystko niszczy, bo tego „jutra” nigdy nie ma. Potem wielkie rozczarowanie i -100 do samooceny. Pasuje się wziąć za siebie, prawda? Lecz, kto jest na tyle odważny, żeby trochę zmienić swoje życie?

Pierwsze dni, tygodnie są najlepsze, bo wszystko układa się po naszej myśli. Zaczynamy coś robić. Na przykład codziennie wieczorem ćwiczyć, może to są brzuszki, a może A6W? Nieważne, ważne jest, że coś robisz. Ważne, że swój plan wcielasz w życie. Potem przychodzi kryzys. „Jak raz odpuszczę, to nic się przecież nie stanie.” A jednak... Bo ten jeden raz coraz częściej się powtarza. Z nauką to wiadomo, raz odpuszczę, to taka wielka szkoda się nie stanie, od czegoś są nieprzygotowania, prawda? Chociaż... Stawiając sobie cel, trzeba być świadomym, bo jak raz się czegoś nie robi, to będzie się to ciągnęło za nami cały czas. Kiedy przezwyciężymy kryzys, wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Czasami jest tak, że rezultatów nie widać ale nie można się poddawać. Musimy pamiętać, że jak coś zaczęliśmy, to również to skończymy. Nie ma łatwo.

Wiadomo, cele to również wyrzeczenia. Coś kosztem czegoś, ważne są efekty. Nieważne, ile to trwa, miesiąc, trzy miesiące, pół roku, czy rok. Liczy się to, że udało nam się. Ach... ta satysfakcja, kiedy wszystko zakończy się wygraną. Niektórzy nie wierzą w to, że nam się uda. To trzeba im pokazać, że nie mieli racji, a ich miny kiedy wychodzi na nasze? Bezcenne. Dla takich chwil to aż warto żyć.

Wypowiedź zakończę mądrymi słowami świętego Augustyna: „Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”. Niech te słowa będą z Wami podczas waszej walki! Powodzenia!



Chcieć...
...to móc

Ekstremalne sporty zimowe

Hubcio

WRAZ Z POWOLNYM KOŃCEM ZIMY WYNALEZIONO NOWE DISCYPLINY SPORTOWE!

Nie wiem czy słyszeliście, ale ja słyszałem. Przez tę jakże uwielbianą przez nas wszystkich zimę wynaleziono kilka nowych dyscyplin sportowych. Pierwsza z nich nazywa się „Pewna noga”. Jaka jest jej historia? Otóż, pewnego pięknego dnia było sobie pięć stopni na minusie i padał najwykleszy w świecie deszcz. Taki wiecie, mokry i wyjątkowy, bo mróz, a z nieba leci woda. Cała zawartość momentalnie zamarała na ziemi. Efekt? Lód, nie inaczej. Konkurencja polega na przejściu przez dany zmrożony fragment bez wywrotki lub z jak najmniejszą ich ilością. Komisja sędziowska stoi w oknach swoich mieszkań i obserwuje cię baczным okiem, więc oglądanie powtórek w razie wątpliwości nie jest konieczne. Kolejną dyscypliną jest „Zwinność tygrysa”. W trakcie roztopów na ulicach jest ciekawa mieszanka śniegu, wody i brudu/błota. Samochód po wjechaniu w taką papkę powoduje wystrzelenie jej tylko w twoim kierunku. Nasze zadanie polega na robieniu takich uników, aby nie dostać pociskiem. Odpadamy z gry w momencie, gdy nasze ubranie będzie pokryte choćby w niewielkim stopniu zawartością ulicy. Następną konkurencją jest „Silna ręka”. Wsiadamy do autobusu/tramwaju. Podłoga jest wyjątkowo brudna i mokra, a nasz plecak jest wyjątkowo ciężki, więc szkoda kłaść go na ziemi. Wygrywa osoba, która przez największą ilość przystanków utrzyma bagaż w jednej ręce. Tutaj gra jest podzielona na kategorie wagowe zawodnika, jak i kategorie wagowe ekwipunku. Ciekawą propozycją dla wszystkich cierpliwych jest „Powtórka”. W naszej miejscowości spadło kupę śniegu, prawie po kolana. Ktoś przed nami próbował przedrzeć się przez zaspy. Musimy iść po jego śladach, aby samemu nie zakopać się w śniegu. Kto pierwszy padnie na twarz, przegrywa. Gra się do ostatniego zawodnika. Natomiast moja ulubiona konkurencja nosi nazwę „Bieg szczęścia”. Ustalamy sobie trasę na przystanek autobusowy, przykładowo zamrażnięta ulica, potem niepozorna kostka brukowa (niby sucha i wygodna, ale...), a na końcu ponownie lód, tym razem posypany solą. Czekamy, aż do autobusu zostaną nam trzy minuty. Wtedy zaczynamy biec na przystanek. Warunek wygranej: MUSISZ zdążyć. Jak przegrasz, to do szkoły idziesz na nogach. Podobno wszystkie te konkurencje będą na najbliższej olimpiadzie zimowej. Zobaczymy.



Hipermetamorfoza

sasza

BESTSELLEROWA BIOGRAFIA OPOWIADAJĄCA O NIEZWYKŁYM CZŁOWIEKU. NO DOBRA, KŁAMSTWO- DZISIAJ JEST TYLKO O MNIE.

Jako dziecko zdecydowanie nie byłem typem otwartej osoby. Na wszelaki kontakt ze społeczeństwem (nie licząc rodziny – chociaż i z tym bywało różnie) reagowałem dosyć lękliwie. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że byłem dzikusiem, jakkolwiek Tarzanowato to brzmi. Zawsze u boku matki, w okularkach, ubrana w rozciągnięty sweter, wędrowałem sobie przez życie aż do dnia, gdy skończyłem 5 lat. Rodzice podjęli (dla mnie w tym czasie najboleśniejszą) decyzję – „zapiszemy cię do przedszkola!”. Na moim etapie rozwoju definicja tej instytucji przedstawiała się następująco: „Przedszkole – budynek pełen innych, wrednych dzieci, które chcą z tobą budować zamki z klocków Lego, a potem perfidnie je burzą, spędzasz tam osiem godzin i musisz jeść szpinak”. Podsumowując – koszmar. Pierwszy tydzień mojej przedszkolnej kariery przepłakałem, jak na „dzikie dziecko” przystało. Pełna żalu i rozgoryczenia o konieczność uczęszczania do tej instytucji obwinałem rodziców. Dziś mogę im tylko podziękować – dzięki nim, w tym „straszonym” budynku poznałem człowieka, który na mojej osobie dokonał „hipermetamorfozy”.

Po dość obszernym wstępie chyba każdy się domyśla, o czym w tym numerze porozmawiamy – od razu mówię, że nie będzie to fotografia (rzeszo fanów i hejterów - bez obaw - jeszcze do tego wrócimy). Dziś natomiast pogadanka o przyjaźni. Chciałabym Was uświadomić o tym, jak ważne jest mieć osobę, która potrafi dowartościować człowieka, czasem go skarcić, pocieszyć i nadzwyczajnie w świecie wyrazić swoje zdanie o danej sytuacji. Przyjaciół to nie osoba, której powierzysz swój jedyny, najbardziej wstydlivy sekret i w zamian otrzymujesz odpowiedź: „Nic się nie stało” (albo jakiegokolwiek inne puste pocieszenie, kiedy ty wiesz, że naprawdę „coś” się stało). Przyjaciół to człowiek, który ma za zadanie uświadomić ci, jak bardzo byłeś głupi, wyśmiej cię, a potem pomoże ci wydostać się z problemów. Swoją drogą, kto wie, czy gdybym kilkanaście lat temu nie poznała „zmianoholika-cudotwórcy”, nie byłabym teraz tym samym, zakompleksionym dzieciakiem, jakim byłam kilkanaście lat temu...

Znajomość z „przyjaciół mojego życia” trwa już 12 lat (toż to przecież 70% z naszej ziemskiej egzystencji – przepraszam cię A. za tyle okaleczonego i zabranego ci czasu). Na koniec pozostaje mi życzyć Wam wszystkim i każdemu z osobna – prawdziwego przyjaciela.



Hipsterski Dzionek

kastel

CHCIAŁBYM KIEDYŚ NIM SIĘ STAĆ. SERIO! OD RAZU PRZEPRASZAM CAŁĄ SUBKULTURĘ(?) ZA BŁĘDY MERYTORYCZNE. NIE STAĆ MNIE.

Dzwoni budzik iPada. Losowo uderzasz delikatnymi chudymi paluszkami po ekranie. Może trafisz w końcu na upragniony przycisk „drzemka”. Po chwili twój asystent Siri w iPhone’ie się odzywa po angielsku, że pora wstawać. No i na co było ci robić tę synchronizację? Otwierasz powieki. Pierwsze, co robisz, to sięgasz na półeczkę i ubierasz zerówki z grubą oprawką. Bez nich przecież nic nie zobaczysz. Potem sięgasz po telefon i robisz zdjęcia swoim stopom w pstrokatych skarpetkach (bo zimno) za pomocą instagrama. Wrzucasz to na Facebooka dodając odpowiednie hashtagi. #nienawidze_poniedziałkow #fajnie_jest_leżymy #grzybica_stóp czym_leczyc?. Program resztę robi sam. Zaraz na pewno się posypią lajki. Check-in we własnym domu. Konkretniej, że na drugim piętrze, bo twoich 729 znajomków może nie wiedzieć, gdzie cię szukać o siódmej nad ranem. W końcu podnosisz się z łóżka. Wyciągasz macbooka. Tego starego, bo w nowych OS jest taki sobie. Po załadowaniu systemu odpalasz emulator Windowsa, bo znowu na Macu to mało co chodzi. Oczywiście uruchamiasz na windzie iTunes – kupujesz w funtach jakiś losowo sugerowany album. Nieznanego wykonawcy – wiadomka. Ważne, żeby był z Dalekiego Wschodu. Kolejno sprawdzasz wcześniej wrzucone zdjęcie stóp. Jest dobrze, polubił to twój najlepszy kolega – też hipster. On jest już trochę dalej, jeżeli chodzi o wstawanie. Wrzucił zdjęcie Latte Macchiato. 10 warstwowego. Instagramem. Bankowo teraz słucha Toma Waitsa na winylu. Bo przecież cyfrowy dźwięk nie ma szansy z miękkim szumem z wosku. Zwlekasz się do łazienki, robisz to, co robią faceci rano w łazience. Potem znów zwlekasz się do sypialni, ubierasz się. Standard, koszulencja w kratę, zamówiona na jakimś swagowym fanpage’u twoich znajomych produkujących ubrania, zakładasz też obcisłe rureczki. Zastanawiasz się, jaki kolor – khaki czy beżowe. Beżowe. Khaki były wczoraj. Zbierasz się na dół. Chwytasz skórzaną szeroką i mało praktyczną torbę. Ważne, że mieści jakieś zeszyty, iPod’a, iPada, Macbooka, polaroida i paczuszkę slimów – przecież ograniczasz palenie. Piąty rok. Ubierasz stylowy żakiet, szalik i śmieszna czapeczkę z pomponikiem. Wychodzisz przed dom, trzymając w termosiku herbatę (kawa zbyt popularna) z miodem wierzbowym. Ręcznie robionym. Podjazd wypasionej domu znajdującego się na Woli Justowskiej jest zastawiony dwiema rzeczami – longboardem i holenderką. Samochodu rodziców nie ma. Pracują w pocie czoła na ciebie i twoje zachcianki. Ty przecież jesteś zajęty prowadzeniem bloga lifestyle’owego i modowego. Wpływowego rzecz jasna. 80 odślon miesięcznie. Swoich własnych, ale i tak jesteś „influencerem”. Wybierasz holenderkę. Dojeżdżasz do szkoły, zaliczając po drodze Coffeheaven. Ileż przecież można siedzieć w Starbucksie?! Bierzesz kawusię i zostawiasz rower na stojaku przed szkołą. Wchodzisz do budynku. Dwójka to bardzo dobra szkoła. Z renomą i tradycją. Obok biegają jacyś pierwszoklasiści – to głupie gimby. Wchodzisz do klasy, pełnej rozwrzeszczanych przyszłych profesorów

Jego ostatni wpis na blogu polubiło 7 znajomych.



„Jestem influencerem.”

języka polskiego, archeologów, pisarzy i tym podobnego sortu ludzi na kierunku humanistycznym. Dosiadasz się do swojego kolegi (tego od Latte Macchiato). Wchodzi do sali nauczyciel. Teraz będziesz się uczył łaciny. Uwielbiasz ten przedmiot oraz odczuwasz dreszcze, gdy rozwiązujesz problemy polegające na odpowiedniej odmianie końcówek. Potem oczywiście matematyka – twój najgorszy wróg. Po co komu umiejętność obliczania pola trójkątów, skoro ty będziesz popularnym blogerem – lifestyle’owym oraz fashionowym. Matematyczka oddaje sprawdzian. Pała. Pała. Pała. Z wagą 10. W nerwach chwytasz iPhone’a i robisz fotkę kartkówki. Instagramem. Dodajesz hashtagi. #nienawidze_zycia #na_co_komu_matematyka #trojkaty #iluminaci. Dodatkowo twoja furia wywołana oceną objawia się w poście na Twitterze. Twoi followersi natykają się dziś jadu, a co! Wychodzisz z zajęć. Nie chce ci się siedzieć do końca. Jesteś załamany, więc jedziesz z powrotem do Coffeheaven. Tam uczysz się łaciny. Na Facebooku. Sprawdzasz wydarzenia w dzisiejszym dniu. Kilka klubowych imprez, ale oczywiście wszystkie +16. To nie dla ciebie. Nie chodzisz na głupie imprezy głupich gimbow. Za to dziś do Pauzy, przyjeżdża jakiś DJ muzyki elektronicznego ethno z Albanii. Będziesz tam. Gorąca kawusia spełniła swoje zadanie, poprawiając ci nastrój - wracasz do szkoły. Siedzisz już tam do końca dnia, marząc, jak fajnie będzie na tym koncercie. Przyjdzie całe miasto wraz ze śmietanką wspinających artystów i blogerów takich jak ty. Po powrocie do domu szybki obiad: szparagi z tofu i ziemniaki. Pyszota. Wieczorem wylatujesz na tą super imprezę w Pauzie. Gdy przychodzisz pod bramkę klubu – ochroniarz nie chce cię wpuścić. Nie daje się nawet przekupić. Wracasz zawiedziony do domu. Kładasz się do łóżka i układasz głowę na aksamitnej poduszce. Zamykasz oczka. Szkoda tylko, że oprawki wbijają ci się w ślepią.

https://fbcdn-sphotos-c-a.akamaihd.net

Milla

serfer

PABLO WRAZ Z AMULEM USIŁUJĄ WYDOSTAĆ SIĘ Z KANAŁÓW. TYMCZASEM MILLA WRAZ Z UTANEM WCIELAJĄ SWÓJ PLAN W ŻYCIU.

Rozdział VII



Wyniani w pole – część I

Zbliżała się już godzina ósma. Choć był to ranek, może już nie tak wczesny, to nikomu z mieszkańców Złotych Kłosów nie przyszło do głowy, aby wylegiwać się do południa. Wręcz przeciwnie, większość tutejszej ludności już od pierwszego promienia słonecznego stała na nogach. Czynili ostatnie przygotowania do tego wielkiego dla nich wydarzenia.

W tej na co dzień spokojnej, w niczym niewyróżniającej się od pozostałych wsi, tego jedynego dnia, miał odbyć się wielki festyn. Trudno się dziwić jej mieszkańcom, że byli tak podekscytowani. Tego dnia rozpoczynał się pierwszy dzień sianokosów jak i również pierwszy dzień zbiorów zboża, bo tak naprawdę przede wszystkim to był główny powód do świętowania dla mieszkańców. Choć przez większość przyjezdnych to święto było określane potocznie „świętem sianokosów”, to tak naprawdę było to Święto Plonów. Dla tutejszych oznaczało to urodzaj i przyływ grosiwa, lecz goście nie zdawali sobie z tego sprawy, dlatego iż większość z nich, miasteczko kojarzyło ze sporymi snopkami walającymi się po polach i tak już się utarło.

Oddział Gorana dotarł właśnie do rozwidlenia. Ich konie również były wykończone nocną gonitwą i choć bardzo się starali, to nie zdołali dogonić uciekinierów. Banda Cienia dzięki swym sprawnym konikom zdołała zdobyć sobie prawie godzinną przewagę. Lecz nie mogli jechać w nieskończoność, musieli się gdzieś zatrzymać. W tym samym momencie wzrok Gorana spoczął na końskich śladach, które wskazywały na to, że kilku jeźdźców udało się do wioski. To prawda, jeźdźcy starali się je zatrzymać, lecz Goran już wiele razy spotykał się z takimi sytuacjami i miał już pewne doświadczenie w odczytywaniu śladów. Wywnioskował z nich, że jechało tą drogą sześć koni.

– Hmm... Sześć koni niekoniecznie równa się sześciu jeźdźcom – zamyslił się Goran, choć pałał żądzą zemsty to mimo wszystko zachował zimną krew. Myśleli, że można uśpić mąą czujność. Oddział sześciu zbrojnych, w dodatku za którymi rozesłane są listy gończe, na pewno wzbudziłyby podejrzenia w wiosce. Musieli się udać do lasu... przynajmniej ich część. Ten trop może być zwykłą zmyłką, lecz do miasta również powinniśmy się udać, bo nawet jeżeli nikogo z nich tam nie ma, to warto by było przepaść mieszkańców, czy czegoś nie widzieli.

– Rozdzielamy się – powiedział do oddziału składającego się z dwunastu ludzi. Połowa idzie ze mną do Złotych Kłosów, reszta idzie na zwady do pobliskiego lasu. Mam podejrzenie, że część uciekinierów, jak nie wszyscy, zrobili tam sobie postój. Jeżeli znajdziecie tylko ślady po ich obozowisku, niech pięciu z was podąży tropem, a jeden niech natychmiast przybędzie, aby mi o tym zameldować. W przeciwnym wypadku, jeżeli jednak tam będą, nie atakujcie ich, tylko również wyślijcie jednego człowieka i czekajcie w ukryciu aż przybędziemy z odsieczą. Zrozumieliście?!

– Tak jest kapitanie! – powiedzieli chórem, po czym Goran podzielił oddział na połowę i z grupy, która miała udać się do lasu, wyznaczył jednego, który miał mu meldować. Miał na imię Birk i był wysoki jak brzoza.

Do wsi zaczęli zjeżdżać się pierwsi goście i z minuty na minutę było ich coraz więcej, i więcej. Wszyscy zebrani wyczekiwali uroczystego rozpoczęcia Święta Plonów, zbierali się wokół pola pełnego pszenicy. Wychodzili ze swych niedawno rozstawionych namiotów, a niektórzy po prostu siedzieli na trawie i wyczekiwali, patrząc na to wszystko z daleka. Święto otwierał od wieków ten sam ceremoniał, czyli uroczyste ścięcie złotych kłosów pszenicy, ten zaszczyt zaś przypadał sołtysowi.

Nagle, z dużego domu w oddali, wyłonił się tęgi mężczyzna z zastrzoną kosą, w otoczeniu dwóch pięknych jasnowłosych dziewcząt z zaplecionymi warkoczykami, na głowie miały wianki zrobione z polnych traw i stokrotek, ubrane były w spódnice w kwieciste wzory i białe koszule z uwydatnionym dekoltem, a ich urodę zwieńczały promienne uśmiechy, które przyozdabiały ich piękne młode twarzyczki. Wszyscy byli zachwyceni tym widokiem, nie tylko dlatego, że w otoczeniu mężczyzny były nad wyraz urodziwe dziewczęta, ale przede wszystkim dlatego, że facet z kosą był opiekunem święta, który przekazywał narzędzie sołtysowi, aby ten czynił honory otwarcia. We wsi było już naprawdę sporo przyjezdnych, a krąg wokół pola zboża zacieśniał się i powiększał.

Kiedy pierwsze kłosa opadły na ziemię, rozległy się oklaski i duży gwar rozentuzjasmowanego tłumu, na który czekało od teraz wiele atrakcji. Muzyka zaczęła grać, było to odczarowywanie łąk, niektórzy wieśniacy dzwonili swoimi kosami uderzając w nie krótkimi nożami. Rozległy się pierwsze rytualne śpiewy. Na rozpalonych wcześniej paleniskach już smażyły się pierwsze potrawy: marynowane dziki, przepiórki, kurczęta, baranina i wołowina. Na placu w wiosce znajdowało się pełno kramów, które były również rozstawione na terenach zielonych, już wcześniej w tym celu skoszonych. Na straganach piętrzyły się przeróżne swojskie wyroby, poczynawszy od miodów, a skończywszy na świeżym pieczywie i koszach plecionych ze słomy. Mieszkańcy różnych okolicznych wiosek również nie mogli zrezygnować z takiej okazji, żeby zarobić na takim wydarzeniu, dlatego też większość kramów należało do okolicznych wieśniaków.

Zaraz po rytualnych śpiewach rozpoczęły się mistrzostwa w koszeniu, w których brali udział wieśniacy, jak i również mieszczanie, lecz oni nie mogli się równać z tutejszą ludnością dla której koszenie traw było codziennością. Do pierwszej tury zawodów stanęło czterech zawodników, trzech wieśniaków i jeden mieszczanin imieniem Rodnei. Była to istna góra mięśni. Był prawdopodobnie już pod wpływem gorzałki lub złocistego płynu, którego było dosyć sporo w beczkach na okolicznych straganach, bo szedł lekko chwiejnym krokiem i rzucał obelgami, widząc chuderlawych chłopów.

– ...ha taki kurdupel jak ty to pewno zaraz wypuści kosę ze swych drobnusich rączek, weź oddał się ode mnie, bo nie chciałem, żeby zaryła w moje oko... – rzucił Rodnei do chłopaka, który stał niedalekiego niego. Tamten tylko zmierzył go wzrokiem. Wiedział, że nie ma sensu wdawać się w pogawędkę z pijanym, agresywnym osiłkiem. Rozległ się dźwięk trąbki na znak rozpoczęcia rywalizacji. Rodnei ruszył niczym rozjuszony byk, młóćąc kosą raz jedną raz w drugą stronę... Reszta również nie odstawała, mimo iż brak im było takiej krzepy, przy tym robili to dokładnie. Spokój nagle i nieoczekiwanie zmaćił dźwięk końskich kopyt. Na ten dźwięk wszyscy zebrani zwrócili wzrok ku przyjezdnym. Wszyscy oprócz Rodneia, który młócił w najlepsze niczym w transie. Spoglądali na oddział sześciu zbrojnych, ubranych w czerwone peleryny, na twarzy jednego z nich, prawdopodobnie dowódcy, malowało się zdziwienie, na jego czole pojawiła się fala zmarszczek.

Koniec części pierwszej

Gratuluje, a teraz zgiń

Łukasz Ożóg

ZAZDROŚĆ, ZAWIŚĆ I FAŁSZ NIE ZAWARTE W KOMEDII ROMANTYCZNEJ

Dokładnie, raczej żaden wątek miłosny się w tym tekście nie pojawi. Chyba, że ktoś darczy rzeczy materialne uczuciami, ale to już inna kwestia. Cóż, niby znany motyw – ktoś osiąga coś wielkiego/dostaje awans/kupuje nowe auto/motor/kalesony Adidasa i nagle odczuwa na sobie coś... smutnego, nieprzyjemnego. Zastanawiałem się, co to może być i już wiem. To wzrok. Wzrok zawistnych o jego dobra materialne malutkich ludzików. Zazdrośni, to jeszcze w porządku, bo może by się zmotywowali do roboty i próbowali osiągnąć coś, tak jak nasza ofiara. Jednak ci zawistni nie grzeszą ogarnięciem, bez wyjątku. Obsmarują delikwenta błotem zawsze, gdy ten wystawi chociażby palec ponad nich. Nie rozumiem ich, są warci tyle, co pobudki, którymi się kierują, do tego próbują ściągać do swojego poziomu innych. To jakiś rodzaj braku akceptacji, a szczególnie akceptacji czyjeś wyższości. Nie jestem psychologiem i nigdy pewnie nie będę. Ja tylko obserwuję, ale przez te obserwacje mi się niedobrze robi. Mój nauczyciel WOS-u w gimnazjum zawsze tłumaczył, że to tylko w Polsce tak jest. Że w Stanach to sobie ludzie gratulują i w ogóle. Tak, dobrze, ale Stanach to ludzie ryczą do kamery, jak im biedronka umrze, przecież mogą tak powiedzieć. Mogę, ale będzie to kolejny stereotyp. I to wcale nie jest kwestia przekroczenia granic kraju. Nie oszukujmy się, w Polsce, Estonii, Stanach, Bułgarii czy innym Honolulu znajdzie się delikwent, który nam nowe auto porysuje. Nie ma reguły, stereotypom mówię pa pa. No, ale dalej problem jest nierozwiązany, tanie loty za granicę nie pomogą. Trzeba grzebać dalej. Czy to natura ludzka? Może to nieprawda i nie każdy człowiek rodzi się dobry? A może ludzie tak chamięją po swoich własnych przeżyciach i obserwacjach? Popatrzą sobie trochę na taką hejtującą wszystko masę i stwierdzą, że w zasadzie to moralności i jakichkolwiek zasad mogą się pozbyć? A dalej, to już reakcja łańcuchowa. Dobre przykłady i wartości zanikają, bo są niszczone. Niszczony przez tych zawistnych. A to, że nazwałem ich masą, wcale nie znaczy, że wszyscy są tacy sami. Bo taki może być i wysoko postawionym prezesem, który zazdrości nowego Maybacha sąsiadowi (i tutaj musi wałnąć swoje: „Nakradł się cham jeden, to ma”), jak i nastolatkiem, który przebił komuś opony w rowerze, bo go na taki nie stać. Ale na szczęście ludzie nie zawsze są tacy. Nie zawsze próbują iść po trupach, nie zawsze chcą na siłę obdzierać nas z motywacji i chęci do ciężkiej pracy. Są wyjątki, ale na nie nie liczyć. Problemu się nie da zdusić w zarodku, ale można z nim wygrać. Jak? Prosto. Wystarczy go zignorować. Iść sobie (czy jechać nowym Mercelem) z podniesioną głową i nie zwracać na ten zawistny plebs uwagi. Dalej umacniać swoje osiągnięcia. Co z tego, że ludzie nam zazdroszczą, że dostają obsesji i za wszelką cenę próbują zniszczyć, co nasze? Dla mnie, to byłby komplement. Ilość osób, jaka mnie znienawidziła przez jakiekolwiek osiągnięcie (i pokazała przez to, że jest niewiele warta), to motywacja. Motywacja, żeby pokazać im jeszcze więcej. A szczególnie to, że mamy ich w nosie. Trzymajcie się i pamiętajcie, żeby pod żadnym pozorem nie dać się zjeść.

Andrzej w TV

Hubcio

WŁĄCZASZ TELEWIZOR, WYBIERASZ LOSOWY KANAŁ,
A TAM... ANDRZEJ!

- Witam Państwa w dzisiejszym odcinku programu „Rozmowy z boku”! Gościem wieczoru będzie nie kto inny jak Kochany i podziwiany przez wszystkich Wielki Andrzej! Bohater dnia pospolitego, wybawca świata i - co najważniejsze - bardzo zabawny gość. Proszę o brawa! Dziękuję. Więc Andrzejku, powiedz mi jedno. Jak ty to robisz?

- No cóż... Robię to w jak najbardziej normalny sposób, po prostu jestem sobą. Nie udaję żadnego bohatera, hipstera, gimbusa, rapera, metalowca, inteligenta, filozofa, ratownika, strażaka, żołnierza, biznesmena, tancerza, aktora, nauczyciela, szefa, komisarza, artysty, piłkarza, programisty, kierowcy MPK... Po prostu jestem Andrzejem.

- Oczywiście masz rację, brawo! Odnosząc się do twojej wypowiedzi i analizując twoją biografię, którą dostarczono nam przed rozpoczęciem programu, chciałbym usłyszeć od ciebie, ale tak wiesz, prosto w cztery oczy, dlaczego ty tak ciągle z tym MPK.

- Faktycznie, temat wałkowany codziennie niezmiennie. Ale jak tak bardzo chcesz wiedzieć... Powiedzmy, że od urodzenia przeżywam kryzys jeżdżenia tym środkiem transportu. No dobra, podobało mi się to za pierwszym razem... Wiesz, nowe twarze, jadę szybko... Znaczą wtedy myślałem, że szybko... Jakoś nie było to dla mnie udręką. Ale po pewnym czasie zacząłem dostrzegać pewne negatywy. Otóż stwierdziłem, że nienawidzę ludzi. Tak, nienawidzę. Ileż można patrzeć na całkowity brak kultury, albo inaczej, brak podstawowej wiedzy o zachowaniu w środkach komunikacji. A już najbardziej mnie...

- Andrzej, spokojnie, myślę, że wszyscy tutaj zebrani już wiedzą, co chcesz powiedzieć. Zdaje się, że twoja frustracja nie ma końca. Co cię jeszcze denerwuje w życiu codziennym?

- A co mnie denerwuje? Wszystko mnie denerwuje. W końcu jestem Andrzejem (*śmiech*). A tak na serio, to ludzie mnie denerwują. Nie wszyscy co prawda, ale sam wiesz, jak jest. Idziesz sobie chodnikiem. Takim zwykłym, trzy kolumny płytek, spokojnie wyminą się dwie osoby. Ale nie! Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie szedł powoli niczym Panzer Tiger i do tego środkiem. Albo moja ulubiona sytuacja. Po prawej stronie chodnika stoi babcia z pieskiem, ale piesek nie kupa - nie leży, więc biega sobie po lewej stronie chodnika! Tak, zgadłeś, smycz, czy bardziej linka z tej całej automatycznej kolorowej czegoś tam, nie wiem, jak to profesjonalnie nazwać, jest rozciągnięta na całą szerokość... chodnika! Babcia patrzy na mnie wzrokiem mówiącym: „Siema ziom, nie przejdiesz, piesek sra i wara mu przeszkadzać, se poczekaj”. No i co masz zrobić?

- Ależ to są zwykłe pierdoły dnia codziennego, spotykamy to wszędzie i zawsze, dlaczego się tak denerwować.

- Ty chyba nie rozumiesz... Co jest bardziej wyprowadzające z równowagi, jedna rzecz, ale porządna, czy byle bzdety, które spotykamy co pięć minut? No właśnie, napięcie narasta, ty się denerwujesz, świat jest do duszy, nie masz humoru, a wszystko przez babcię z pieskiem, któremu zachciało się twardych dowodów akurat wtedy, kiedy musisz przejść! (*rzut krzesłem o podłogę*)

- Zabrać go z wizji... A teraz drodzy widzowie, zapraszamy na reklamy!

Dni Świra

Xenon

TAK. JA TEŻ NARZEKAM.

Ostatnimi czasy krąży we mnie zagmatwana myśl w różnych, mniej lub bardziej kolokwialnych i wulgarnie wołających o pomstę do nieba odmianach. Patrząc na te piksele, które niczym pracownica ZUSu zaczerwieniam na starym ekranie niezgrabnymi, spoconymi dłońmi poprzez klawiaturę nieświadomie pamiętającą moją pierwszą (i ostatnią) komunię postaram się przelać na papier swoje dyrdymały.

W styczniu ubiegłego roku systemowo zostałem - pod perfidnie uprzejmą groźbą przetrącenia moralnych „nóg” - nakłoniony do nieprzemyślanego wyboru szkoły do której miałem zawitać jeszcze tego samego roku we wrześniu. Egzaminów moc, a zreumatyzowana pseudomafia przystawia mi chochelkę do szyi każąc dostać się do „najlepszego liceum”, ponieważ każde dziecko dobrze wie, że liceum superior, technikum inferior (sic Damen und Herren), cobym później bezrefleksyjnie poszedł na studia na najlepszej uczelni, zdając wszystko z wynikiem „101% + Święte Namaszczenie” i poszedł bezmyślnie dorabiać do ich emerytur/rent i utrzymać rodzinę, którą założę z losową poznaną na imprezie zapitą kobietą nazywaną kilkadziesiąt lat później na wzór ojca przez mojego potomka „sparciałą figurą żelbetonowej ignorancji” (chyba, że z innego układu słonecznego przyleci do nas kilku takich z urojonymi kolorami skóry albo owy potomek będzie biegał z palców na pięty).

A gdzie życie? Ta wspomniana impreza się nie liczy.

Podoba mi się ten tradycyjny model nauczania niczym u kowala czy lutnika. Specjalizacyjny, pozwalający na wyasterowanie konkretnej umiejętności. Kto zabroniłby poza nią nauki jakichś innych interesujących (mnie) rzeczy?

Każdego dnia idę do szkoły śmiejąc się z tej bezradnej stagnacji i przeciętniactwa ludzi z racji braku czasu na rozwijanie tego co dla nich interesujące. Pośrednio pisał też o tym w poprzednim numerze Wojtek i zgadzam się z nim absolutnie.

Inne nieporozumienie - przedmioty typu WoS, HiS i Podstawy Przedsiębiorczości przydałyby się w 4. klasie a nie teraz, gdy moje myśli teoretycznie latają za gorącymi tyłkami nastolatka (bo na pewno nie nastolatków; i tak - to jest jawna dyskryminacja, homofobizm i czarnogród); uczenie ich teraz jest mniej logiczne niż pisanie std::cout przed int main().

„Podobno własna firma to dobry biznes, przecież mógłbym sprzedawać przelewaną colę z Biedronki w puszkach z nadrukiem robionym pod tych hewi-metalowych brudasów, papierochy przecież mają już czarne, Black Devile czy

jak im tam. Kasę mam, ludzie się znajdują... Tylko jak zakładało się tę firmę? Przecież te lekcje przebiłbym na naukę innych lamerskich przedmiotów żeby tylko zdać dalej... Doobra, aurora musis amica et audaces fortuna iuvat, ale czas do pracy.”

Boję się, że opuści mnie mój instynkt narzekacza, ta bądź co bądź samoświadomość krytykująca rzeczywistość różnego kalibru, na którą mam lub nie mam wpływu - że zostanę po prostu ofiarą systemu, jego trybikiem, szarakiem

narzekającym najwyżej na to jak zła jest moja praca i że przecież nie mogę nic z tym zrobić, i tak zmarnuję się niczym ta szara masa jadąca ze mną w autobusie codziennie o 6 rano.

Farmville

bogi

CZYLI JAK ZOSTAĆ FARMEREM

Czy masz konto na Facebooku? Jeżeli tak, to zapewne wiesz, jak denerwujący potrafi być ogrom powiadomień pojawiających się przy każdym logowaniu na swoim profilu. Tutaj Ania lubi twój komentarz, tam Tomek skomentował twojego posta, ale najbardziej dokuczliwymi z nich są informacje o grach. Wyobraź sobie, że siedzisz wieczorem przed komputerem na ulubionym portalu społecznościowym, a tu nagle zauważasz na swojej tablicy informację, że twoja koleżanka potrzebuje jeszcze tylko 9 gwoździ, żeby zbudować szopę w swojej ulubionej grze Farmville. Będąc bardzo

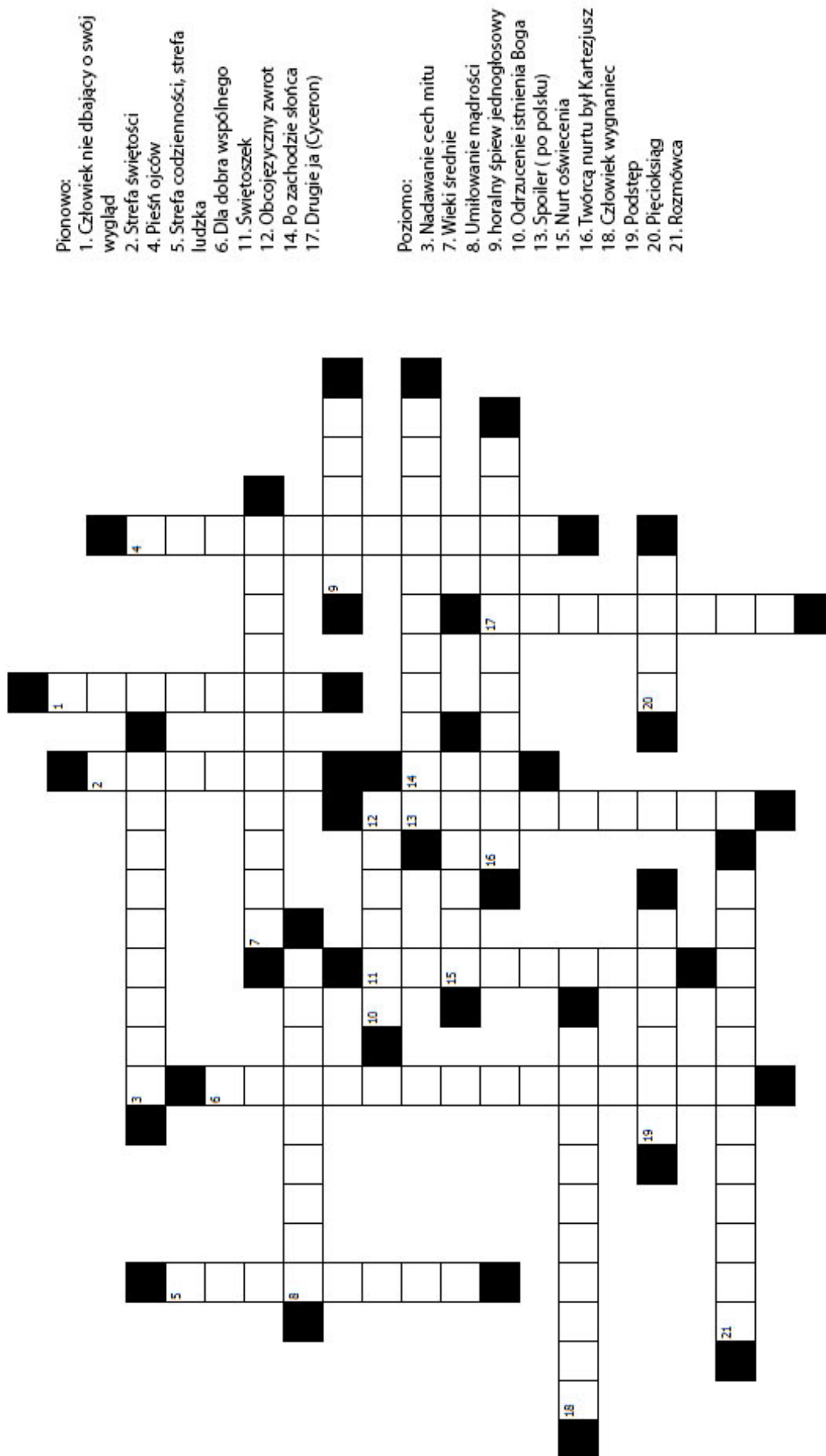
NIE WYSYŁAJ MI ZAPROSZEŃ DO GIER



BO I U CIEBIE ZNAJDZIEMY ROPE

życzliwym człowiekiem, stwierdzasz, że chcesz jej pomóc zbudować swoją wymarzoną szopę i klikasz link pod jej postem. I właśnie w tym momencie twoja koleżanka dostaje kilka gwoździ, a ty zapewniasz swoim znajomym lawinę spamu. Gdy po paru dniach kilkunastu twoich znajomych zaczyna prosić Cię, abyś przestał zaśmiecać im tablicę - otrzymujesz wiadomość od swojej koleżanki, która chcąc odwdziżyć się za pomoc przy budowie, podarowuje Ci małego prosiaczka. Ponieważ jesteś bardzo opiekuńczy, postanawiasz go przygarnąć. Zaczynasz tworzyć swoją własną farmę. Dokupujesz zwierzęta i chcąc im zapewnić godziwe warunki, budujesz zagrodę. Jednak okazuje się, że potrzebujesz pomocy swoich znajomych, gdyż nie stać Cię na budowę. W tym jakże szlachetnym celu wysyłasz do nich wiadomość z prośbą o wysłanie ci kilku niepotrzebnych desek. Gdy po paru godzinach zauważasz, że żaden z twoich znajomych nie wysłał ci potrzebnych materiałów, wciskasz przycisk „poproś znajomego o pomoc” do skutku. Właśnie w tym momencie grono twoich znajomych zmniejszyło się o 10. Niestety jesteś teraz zbyt zajęty sadzeniem truskawek na swojej farmie, aby to zauważyć. <w tym momencie wracasz do rzeczywistości> Pamiętaj, jeżeli kiedykolwiek najdzie cię ochota, aby zbudować swoją własną farmę na Facebooku, to proszę, nie wciągaj w to swoich znajomych, ponieważ mogą nie być do tego zbyt pozytywnie nastawieni. Musisz wiedzieć, że niektórych ludzi nie obchodzi to, że właśnie zerwałeś swoje truskawki i zrobiłeś z nich ciasto. Może niektórzy nie mają ciasta i poczują się tym urażeni? Taka... sytuacja.

http://i1.memy.pl



Recenzja: Zew Łączności

Wojciech Gajda

STUDNIÓWKA 2013 TO JUŻ PRZESZŁOŚĆ! OCENIAMY JEJ CZĘŚĆ ARTYSTYCZNĄ.

W tym wydaniu „Marginesu” dokonam czegoś, co w normalnych okolicznościach skutkowałoby pożegnaniem się z redakcją gazety raz na zawsze. Pokuszę się bowiem o wtrącenie w działkę Redaktora Naczelnego, jaką są recenzje. Ale spokojnie – jestem usprawiedliwiony, gdyż obiektem poddanym ocenie zostanie dzieło, którego właśnie on jest współautorem. Film, o którym mowa, został zaprezentowany podczas tegorocznej studniówki w ramach jej tradycyjnej części artystycznej. „Zew łączności”, bo tak nazwany został ponad 30-minutowy obraz, przypadł do gustu wszystkim zgromadzonym na balu gościom, którzy okazali to poprzez gromkie brawa. Niespodziankę przygotował także dyr. Borgosz, który tuż po premierze wręczył twórcom filmu nagrody. Czy film faktycznie zasłużył na zebraniu takich laurów?

Na początek, dla niewtajemniczonych, krótkie streszczenie recenzowanego filmu. Na świecie doszło do katastrofy. W opustoszałym mieście pełnym istot nieprzypominających ludzi pojawia się Stalker, który nie tylko pragnie przetrwać, ale także wyjaśnić zagadkę i dowiedzieć się, co było jej powodem. W trakcie wyjaśniania niecodziennej sytuacji na jego drodze pojawiają się istoty o niebywałych cechach osobowościowych i uderzającym podobieństwie do postaci, które mamy okazję spotykać na co dzień w murach ZSt.

Prestizżowość filmu podniosła prawdziwie gwiazdorska obsada aktorska. Swoim udziałem przy tworzeniu „Zewu łączności” zaszczylili m.in.: dyr. Piskowski oraz pan Sylwester, natomiast swojego głosu użyczyli dyr. Borgosz oraz prof. Popiołek. Serdeczne pokłony także dla pani prof. Ciborowskiej. Powiedziałbym, że była to rola stulecia, ale... tu nic nie było grane! Sama najczystsza prawda mroźną krew w żyłach i wywołująca napływ rzęsiстых łez do oczu. Chapeau bas! Jako jeden z czołowych damskich bokserów gratuluję odwagi zagrania w filmie i obiecuję, że zaraz po napisaniu tej

recenzji biorę się za naukę do matury! W główną rolę produkcji – Stalkera – wcielił się Hubert Pięta, biorący również udział przy tworzeniu scenariusza filmu, i trzeba przyznać, że prezentował się doskonale! Wcale nie dlatego, że przez 99% czasu nie było w ogóle widać jego prawdziwego wizerunku. Bardzo wiarygodnie odegrał sceny, w których eliminował z przestrzeni kolejnych zombie. Widać, że wiele godzin swojego życia poświęcił na expienie w CODzie. W charakterystykę zombie idealnie wpasował się też Kamil Wacławik odgrywający rolę portiera. Legendarny stał się już tekst: „Nie dam klucza!”. Przyznać muszę niestety, że osobiście nie zrozumiałem aluzji – przecież na portierni zawsze panuje atmosfera gościnności, pomocy i wzajemnej życzliwości... Od mistrzowskiej strony pod względem gry aktorskiej pokazał się także Sebastian Łuksa, który doprowadził do płaczu (ze śmiechu rzecz jasna) niejedną osobę, wcielając się w postaci nauczyciela WOSu i wf-u. Widać, że podczas odbywania zajęć z przedmiotów, z których kształcą wymienieni nauczyciele, Sebastian nie marnował czasu i bacznie ich obserwował, by później móc ich doskonale naśladować. Jedną z kulminacyjnych scen filmu, w której śmiech opanowywał wszystkich w stopniu uniemożliwiającym samokontrolę, była ta, w której zainscenizowana została rozmowa spokrewnionych nauczycieli informatyki, których zagrał Krzysiek Przeniosło. I aż się prosi stare, dobre powiedzenie: uczeń przerósł mistrza! Niebywałym zaszczytem dla twórców i widzów „Zewu łączności” było także wystąpienie w nim znanego i lubianego polskiego aktora - Wojciecha Pacyorka - który dzięki swoim doskonałym walorom głosowym, w perfekcyjny sposób imitował głos i postać kolejnego nauczyciela informatyki. Swoją nieśmiałością i wspaniałą dykcją urzekł także rolę pedagoga. Jeszcze trochę i specjalnie dla niego wznowiony zostanie program Taniec z Gwiazdami ;) Na uwagę zasługują także fachowo odegrane role Profesorów od informatyki, a także ucznia-cwaniaka przez Michała Kościelniaka. Nonszalanckość okazała się być doskonałym atutem, który nadał odgrywanym bohaterom niebywałej wiarygodności. W scenie wyjaśniającej, jak doszło do katastrofy, swój debiut dubbingowy miał prof. Popiołek, który został zresztą zagrany także w filmie przez Sławka Szopińskiego. Autentyczność w jego wykonaniu była godna podziwu. Na koniec oceny postaci, które szczególnie przypadły mej pamięci – Rafał Płonka, odtwórca roli Profesora od angielskiego... Prawdziwa perełka! I tego niestety nie da się opisać, to trzeba zobaczyć! Podsumowując: Wręczenie Oscara za grę aktorską w filmie „Zew łączności” byłoby niezmiernie trudne, a wręcz niewykonalne, za sprawą tego, iż wszyscy spisali się świetnie. Nie było miejsca na amatorstwo – cała ekipa wykazała się profesjonalizmem i wyjawiała swoje talenty.

Na całość odbioru filmu wpływa zawsze olbrzymia ilość czynników. Do tegorocznej części artystycznej studniówki trzeba przyznać – maturzyści podeszli z prawdziwą fachowością. Doskonała jakość obrazu, świetna ścieżka dźwiękowa, wybitna obsada aktorska, a przede wszystkim także niecierpiąca wątpliwości historia. „Zew łączności” bowiem nie powstał tylko po to, żeby bawić i śmieszyć, ale także po to, by przedstawić fabułę powstałą w głowach twórców scenariusza – Pawła Kastelika i Huberta Pięty. Panowie jednak chyba sami nie byli do końca świadomi tego, że z tego projektu i zarysu uda się wykrzesać aż taki diament! W efekcie tego, to nie „Zew łączności” był częścią artystyczną Studniówki 2013, lecz impreza studniówkowa była niezwykle miłym dodatkiem do premiery filmu.

Osobom, które nie miały jeszcze okazji obejrzeć „Zewu łączności” niezmiernie chętnie poleciłbym jego obejrzenie w serwisie YouTube, gdzie przez zaledwie parę dni po premierze wyświetlono go kilka tysięcy razy. Budzący jednak kontrowersje u nielicznych odbiorców film został zablokowany, pozbawiając Was tej możliwości. Szkoda, że zabrakło nieco rozsądku i szacunku do pracy, którą wykonał cały sztab ludzi i który bawiąc się i śmiejąc, stworzył kawał naprawdę dobrego, sensownego filmu. Szkoda również, że dostrzeżono w nim złe intencje, bo jakby nie było - film ten miał być także podziękowaniem tegorocznych absolwentów dla nauczycieli za lata ich poświęceń. Nie rozumiejąc decyzji sprzeciwiających się publikacji filmu, pozostaje jedynie zauważyć, że poziom recenzowanego obrazu jest naprawdę wysoki, bo budzi emocje i nie jest się wobec niego obojętnym.



Serialowy przegląd kasteł

TAK, TU SIĘ PISZE O POWAŻNYCH AKTORSKICH SERIALACH, A CO Z... BAJKAMI?

„Pingwiny z Madagaskaru”

Tych czterech agentów chyba nikomu nie trzeba przedstawiać. Szef, Kowalski, Szeregowy i Rico to pingwiny, które są komandosami i nie znoszą zimna panującego na biegunie północnym. Stanowią bardzo zgrany oddział ptaków nietopów, mieszkających w Zoo w Central Park. Na co dzień zazwyczaj ich zadania opierają się na zdobyciu jedzenia (lodów na patyku lub ryb), ratowania świata z powodu kolejnego źle działającego wynalazku Kowalskiego, zsyłanie złych zwierząt z powrotem do Zoo w Hoboken albo najwyżej na świecie walcząc z mega drażniącym, zadufanym w sobie, narcystycznym i egoistycznym (brzmi znajomo, co nie?) lemurzem królem Julianem. Każdy z pingwinów pełni istotną rolę w drużynie. Szef musi wszystko trzymać w ryzach, Kowalski zawsze ma jakiś plan (słynne – „Kowalski, opcje!”), Ricco – mój ulubiony pingwin – to spec od zaplecza i sprzętu. Zawsze ma coś pod skrzydłem, jest małowimny, ale jak już coś skrzeknie, to z sensem i wywołując na twarzach widzów czystą radość oraz uśmiech. Natomiast, jeżeli chodzi o Szeregowego, to ma podobną funkcję do Trzynastki z „dr House’a” – jest naiwnym, ale istotnym członkiem zespołu, wytyczającym moralne granice działań operacyjnych. Przy okazji wierzy w różowe jednorożce i tęcze. Aleeee słoooodkie! <33333

Dreamworks stworzyło oddzielną miniprodukcję na bazie „Madagaskaru” i śmiem twierdzić, że im się to bardziej udało niż wymieniony wyżej pełnometrażowy obraz. Dialogi są zawsze zabawne i ciekawe, a polski dubbing jest autentycznie na najwyższym poziomie. Dodatkowo postacie i tło fabularne są skonstruowane wyjątkowo interesująco. Mamy jakieś konflikty, miłości, epizodyczne postacie (byli członkowie oddziału – Manfred i Johnson – którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach), tajemnice – przykładowo niewyjaśniony strach Szefa przed Kopenhagą. Takie ciekawostki na drugim planie stanowią oryginalne i złożone tło. Serial ma trzy sezony i jest emitowany codziennie w telewizji Puls o godzinie 19:30 jako konkurencja dla marnej (niestety) Wieczorynki i marnych (niestety) Faktów. Proponuję, więc zamiast być poddawany codziennemu praniu mózgu przez wieczorne wiadomości, oddać się świetnej rozrywce. Oszczędzicie sobie pustych nerwów i zrelaksujecie się przy bardzo dobrej bajce. Polecam, każdy znajdzie coś dla siebie – i informatyk i elektronik, a nawet ten z teleinformatycznego.



Recenzje gier Hubcio

DZISIAJ DWIE WYJĄTKOWE GRY, BĘDZIE FAJNIE...



Defcon

Wyobraźmy sobie, że wybuchła trzecia wojna światowa. Siedzimy przed monitorem i decydujemy, ile milionów osób mamy zabić bronią nuklearną. Na tym polega ta gra. Wszystko dzieje się na mapie świata, która jest podzielona na kilka mocarstw (w zależności od tego, ilu jest graczy - gra się przez sieć). Rozgrywka jest podzielona na fazy. W pierwszej rozmieszczamy na swoim terenie radary, lotniska i wyrzutnie rakiet. W kolejnych fazach przesuwamy swoje statki i łodzie atomowe po oceanie, wydajemy rozkazy do patrolu oraz ataku, a w końcu wybieramy, które miasta mają być zbombardowane. I tutaj zaczyna się najciekawsza część. Z głośników wydobywa się dźwięk alarmu atomowego, a na planszy ujawniają się dziesiątki (jak nie setki!) rakiet, które zmierzają w kierunku wyznaczonych przez nas celów. Oczywiście nie wszystkie dolecą, ponieważ przeciwnik - jak i my - jest wyposażony w wyrzutnie przeciwlotnicze. Tak więc dokładne rozplanowanie i przemyślenie każdego czynu jest konieczne, jeżeli chcemy mówić o wygranej. A ja wygrać? Zwycięzcą zostaje osoba, która zabije najwięcej ludności cywilnej. Aż się człowiekowi nieswojo robi, jak patrząc na statystyki widzi, że pozbawił życia ponad dwieście milionów istnień... Genialne!

Uplink

W grze jesteśmy hakerem i wykonujemy zadania na zlecenie nieznanym ludzi. Włamujemy się do komputerów, żeby wykraść/usunąć jakieś pliki, kupujemy coraz nowsze oprogramowanie do łamania zabezpieczeń, ulepszymy naszą maszynę (zwiększamy pojemność dysków, dokładamy pamięć RAM czy przyspieszamy procesor). Jednak wszystko to jest tak realistycznie podane, że mamy wrażenie jakbyśmy naprawdę byli internetowym terrorystą. Uruchamiając program, musimy się zalogować, wyświetlają się komunikaty o połączeniu z siecią, przewijają się różne adresy IP, itp. Ostatecznie lądujemy w naszym systemie operacyjnym, gdzie możemy wejść nawet na stworzoną na potrzeby gry imitację internetu! Dostajemy wiadomości na naszą pocztę, rozmawiamy z pracodawcami, robimy zakupy w sklepach internetowych... Jednak wystarczy jeden błąd, aby zakończyć grę. Gdy zostaniemy namierzeni podczas włamania, dostajemy wiadomość, że jesteśmy obserwowani i następnym razem będą wyciągnięte konsekwencje względem nas. A gdy wpadniemy po raz drugi - gra się kończy i musimy zacząć od nowa. Więc ponownie stwierdzam, że... Genialne!

<http://www.introversion.co.uk>

<http://images.wikia.com>

Recenzja muzyczna

kastel

DZIŚ WYJĄTKOWO DWA ALBUMY, KTÓRE SWOIM WYKONANIEM I STYLEM PRZYKUŁY MOJĄ UWAGĘ.

http://mowianamiescie.pl



Pezet & Małolat – „Live in 1500m2”

Można to nazwać albumem, można i nie. Jest to nagrany we fragmentach koncert braci raperów Pezeta & Małolata w warszawskim klubie 1500m2. Czym się wyróżniał ten koncert? Konsolle Dla zostały zamienione na zespół z żywymi instrumentami, więc z automatu wszystkie utwory mają inną, ciekawszą aranżację. Ponieważ całość jest to nagrywana podczas koncertu, słychać, jak dobrze bawi się publiczność (same fanki). Płytką niesie ze sobą potężną dawkę energii wywołanej przez entuzjazm ludzi zebranych w klubie oraz połączenie rapu z rockiem. Na krążku znajduje się 14 numerów z różnych płyt. U mnie leci w kółko. Polecam singiel „Koka”, na którym udzielił się na żywo VNM, więc fani technicznego i złożonego rymowania nie będą zawiedzeni, zwłaszcza jeżeli na koncertach tego elbląskiego rapera byli i wiedzą, co się tam dzieje. Dodatkowo płyta zawiera materiał DVD z koncertu i inne bonusy.

PS. Nie warto się przejmować plotkami, że „Live in 1500m2” został wydany dlatego, że Małolat potrzebował gotówki. Jest to projekt warty naszego czasu. Bankowo się wszystkim spodoba. Ocena 5/5

Pelson – „3854 i 3 kroki”

W grudniowym numerze, w recenzji albumu Moniki Brodki „LAX” otarliśmy się o taki rodzaj wydawnictwa, jakim jest EP (Extended Play). Wspominałem w artykule także o tym, że członek składu Molesta Ewenement – Pelson przymierza się do wydania właśnie takiego nagrania. Album zgodnie z planem miał premierę w ostatnim miesiącu zeszłego roku i został wydany przez Step Records. Przyznam, że czekałem z niecierpliwością na tę płytkę, bo wcześniej zostały wydane trzy teledyski promujące „3854 i 3 kroki” i numery wkręciły mi się w łepetynę i jedyne, co robiłem, to nabijałem wyświetlenia na odsłuchu. W momencie, gdy przesłuchałem osiem utworów, oniemiałem z zachwytu. Sampłowane podkłady w całości zrobione przez MAUI WOWiE, typowe dla tego rapera poetyckie teksty i człowiek zaczyna się zastanawiać nad sensem życia. Gościnnie na płycie udzieliło się czterech wykonawców. Członek EWR – Grizzle, i raper w kraju – Eldo, Kubson oraz członek HiFi Bandy – Hades. Panowie pokazali klasę, wczuwając się w klimat albumu. Myślę, że nie ma co się rozdrabniać i polecać pojedyncze single. Ten krążek każdy powinien mieć i znać na pamięć jak „Pana Tadeusza”.

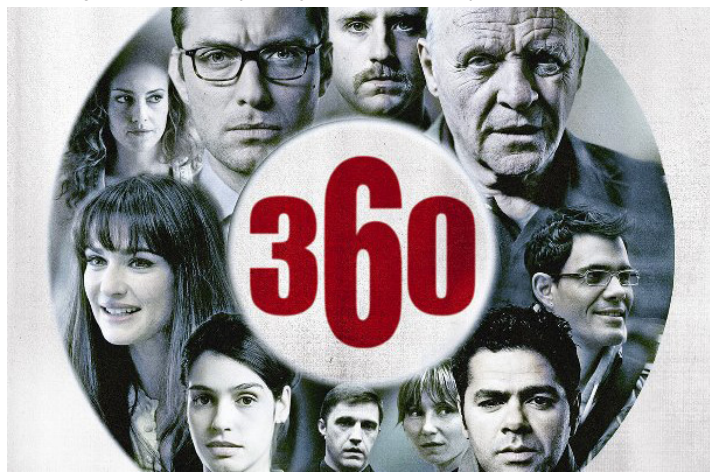
Recenzja Filmowa

kastel

BĄDŹMY SZCZERZY – PRZYCIĄGNAŁ MNIE TYTUŁ I RACHEL WEISZ.

Spodziewałem się po plakacie i oryginalnym tytule, hm... jakiejś ciekawej, dramatycznej historii w Tarantinowskim stylu. A tym czasem zobaczyłem film, który w moim odczuciu jest dobry, ale jednocześnie nijaki. Reżyser pokazuje nam kilku bohaterów z różnych krajów zmagających się z problemami życia osobistego... A tu wpływowy biznesman zdradza żonę, ta kobieta też zdradza męża, kochanek odczuwa niespełnioną miłość, ojciec poszukuje córki, imigrant szuka lepszej pracy, etc. No serio, problemy naprawdę z życia wzięte i które można powiedzieć, że niektórzy znają z autopsji, bo albo sami szukali pracy i lepszego życia czy też byli zdradzani przez swych partnerów lub też sami zdradzali. Najciekawsze jest to, że bohaterowie tego filmu (jak wskazuje tytuł) są sobą połączeni – znajomościami. Żona zdradza męża z zajęętym facetem, dziewczyna tego amanta się o tym dowiaduje i wraca do domu, w samolocie poznaje mężczyznę poszukującego swojej córki i efekt końcowy jest taki, że krąg znajomości w końcu się zamyka. To wszystko idzie na plus dla tego filmu, bo to ciekawy pomysł. Kolejnym plusem jest solidna obsada w postaci wcześniej wspomnianej Rachel, Jude Law’a, czy Anthoniego Hopkinsa. Plusem jest to, że ładnie mówią po brytyjsku. Ale co z minusami? Co wpłynęło na moją opinię, że film jest nijaki? Otóż wydaje mi się, że fabuła jest nieciekawa i nudna. Człowiek uświadamia sobie, że nie po to idzie do kina, aby oglądać coś, z czym spotyka się na co dzień. Film musi być niezwykle, oryginalny i szokujący. Fajnie, że ci ludzie są połączeni. Ale jaki wpływ te znajomości mają na całokształt? Właściwie żaden. Będąc widzem, zastanawiałem się nad tym... I nic nie wymyśliłem. Przykro mi.

Historia „360” może jest ładna i jest to ciekawy pomysł na film, ale zabrakło tego czegoś, co by sprawiło, że obraz by się „wkręcił” widzowi. Takiego Quentinowskiego splotu z mocnym finałem. W konkluzji – tego filmu nie polecam. Chyba, że ktoś jest totalnie zakręconym kinomanem, lubi Jude Law’a (tak drogie panie, do Was mówię) i szuka inspiracji w codziennych zdarzeniach.



http://www.kobieta.pl